

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 12 MAJA 1928 ROKU

NR 20

TREŚĆ NUMERU: Organizacja a jednostka — *Z. Zaleska*. Problemat szkolnictwa żeńskiego — *Jan Mazur*. Zanim kłamka zapadnie — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Słowo „Zapach“, „Kotara z chmur“, „Noc nad morzem“ — *Anna Słonczyńska*. Ubogi krewny — nowela — *Miłosz Gembarzewski*. Kukułka — *Ewa Szelburg*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K.* O polskość naszych wnętrz — *Marja Morozowicz-Szczepkowska*. Do Londynu! — *Han. Skar.* Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Na temat szlafroka i pyjamy — *Well.* Damski i męski pull-over. Dodatek „Kultura ciała“: Dokąd mają wyjechać na lato kobiety chore? — *Dr. St. Lewicki*. Higjena wzroku — *Dr. E. Pieracka*. Autosugestia i piękność — *W. Burhardowa*. Mój system — *Dr. J. Świtalska*. Z tajemnic starodawnej kuchni — *Dr. Gregorius*. Odpowiedzi redakcji. Dodatek powieściowy: „Bursztynowa księżniczka“ — *George F. Worts* — tłum. z angielskiego — *W. M.* Tablica kroju.

ORGANIZACJA A JEDNOSTKA

Może w żadnej epoce tak dobitnie nie wystąpiło na jaw znaczenie siły, jaką zdobywają złączone w zorganizowanym związku jednostki ludzkie, jak w tej, w której — zdawałoby się — nie trzeba będzie już z takim trudem tłumaczyć stwierdzonej przez doświadczenia — prawdy. A tymczasem, poza szeregami, zorganizowanymi w przeróżnych związkach i zrzeszeniach, stoją wciąż masy bierne, bezsilne, może nawet i przepojone dobrą wolą, ale nieumiejące wykrzesać z siebie inicjatywy, dać czynu twórczego, często zniechęcone jakimiś nieudanymi poczynaniami gromadzkimi i — jakby nieorientujące się, ile pracy stoi przed nimi i jak jej można podołać!

Społeczeństwo en masse nie jest wciągnięte w robotę zorganizowaną — pracują tylko jednostki i te są rzeczywiście przeciążone rozlicznymi obowiązkami. Wskutek tego szwankuje wiele, brak jest rozmachu, brak pracy na wielką skalę, która jedynie budzi tę radość życia, opartą na twórczości, na dumie ze swego dzieła, na możliwości wyzyskania wszystkich swych sił i uzdolnień, bez której życie jest tylko wegetacją.

Za jedno z najważniejszych naszych zadań trzeba uznać propagandę znaczenia organizacji w życiu społecznym, walkę z tem chodzeniem w rozsypkę, czy to jednostek, czy — nawet — zrzeszeń, mających cele bądź pokrewne, bądź ząbajające się o siebie. Zrzeszenia, bowiem, też u nas lubią „splendid isolation“, są podejrzliwe, bojące się współzawodnictwa, podchwycenia metod pracy — jakgdyby w tej Polsce brak było pola, jakby siły choćby jednego całego pokolenia mogły wystarczyć na wydzwignięcie jej na jasną drogę! Zrzeszenia też mają wady jednostek: są obraz-

liwe, a jednocześnie dziwnie przypominają słynną anegdotkę o tym kupcu kolonialnym na rogu, któremu tak dobrze się powodziło, że inni też skoczyli po rozum do głowy i wnet na vis-à-vis niego założyli trzy sklepy kolonialne, poczem... wszyscy zbankrutowali. O konieczności centralizacji pracy, która umożliwi planowe działanie, wzmacnia działalność poszczególnych instytucji i metody opiera na naukowych podstawach i doświadczeniach współdziałających zrzeszeń — długo jeszcze będzie się mówić. Aczkolwiek z radością można zaznaczyć, że zrozumienie tej potrzeby żłobi sobie drogę, oraz, że są już poważne poczynania w pewnych dziedzinach, jak np. w opiece nad matką i dzieckiem. Polski komitet pomocy dzieciom będzie miał ogromną zasługę, jeśli swój plan centralizacji w tym zakresie przeprowadzi. Zarysowuje się podobna tendencja w akcji tych organizacji, które prowadzą świetlice, czy kluby dla młodzieży. Były i niezawodnie odrodzą się znów wysiłki identyczne na innych polach pracy społecznej. Nagłą potrzebą jest zbliżenie się wszystkich organizacji kobiecych na gruncie spraw kobiecych, tylu spraw wspólnych, domagających się zarówno ustawodawczego ujęcia (co jakże będzie trudnem do przeprowadzenia przy ilości zaledwie 10 kobiet w polskim parlamencie!), jak oświetlenia ich tym szerokim rzeszom, które nie umieją głosu w swej obronie podnieść. Wszystko to jednak musi iść współzrędnie z wielką propagandą zrzeszania się wogóle.

Iść luzem nie wolno! — oto hasło, które winny podjąć wszystkie kobiety. Jest nas przecież w Polsce bezmała o 2 miliony więcej, niż mężczyzn (107 na 100),

a jednak... czy zaznacza się to w podniesieniu poziomu etycznego i moralnego społeczeństwa, w kulturze współżycia ludzkiego? — Jakże gorzko mówią o współczesnej polce te, które nieustępliwym trudem całego swego życia wywalczyły nam najpierw dostęp do uniwersytetów i pracy zawodowej, a następnie równouprawnienie polityczne! Czy to ma być już wszystko? Dzieło skończone? Pomijając już wzmiankowane t. zw. „sprawy kobiece“, trzeba przecież wraz z Bujwidową powtórzyć, że na nic wszelkie prawa, jeśli zużyte one nie zostaną dla podniesienia ludzkości na wyższy poziom wewnętrznego rozwoju. A tymczasem patrzmy na przerażający zanik szacunku dla kobiet. Widzimy, że ani „wczorajsza i przedwczorajsza, a tembardziej współczesna kobieta nie umiała wychować mężczyzny w zachowaniu bodaj pozorów szacunku dla jej czci niewieściej“ (C. Walewska), że „olbrzymia masa kobiet we wnętrzu własnym pozostała dotąd taką samą, jak dawniej“ (K. Bujwidowa).

Wiele, bardzo wiele mamy do zrobienia, by nadeszły wreszcie zmiany w stosunkach społecznych, by wkroczył w życie ten nowy typ odrodzonego człowieka, który pono... „stoi w drzwiach“! Lecz nierychło przybliżą się ta chwila, jeśli nasze masy kobiece nie zrozumieją potęgi organizacji i powagi odpowiedzialności, jaka wraz z uzyskanymi dotąd prawami na nie spadła. Masom tym trzeba ustawicznie wykazywać, że dobro każdej jednostki jest w bezpośredniej zależności od dobra powszechnego; trzeba budzić solidarność nie przez suche wskazywanie obowiązków społecznych, lecz przez związanie wykonywania ich z konsekwencjami w życiu osobistym każdego. Już samo poczucie, że w tem ogromnym rojowisku ludzkim nie jest się tak beznadziejnie samotną jednostką, że się idzie w gromadzie, złączonej wspólnotą ideałów, przekonań, pełnej wiary w osiągnięcie celu, lub choćby w to, że droga wybrana jest właściwie — już to samo wzmacnia energię, podnosi na duchu, jest ratunkiem

w chwilach depresji. Ratujemy dziś rodzinę przed rozbiem, każdy na swój sposób — lecz miejmy odwagę stwierdzić, że właśnie dziś bardzo często znajduje się tę drugą „duchową rodzinę“ nie wśród swoich najbliższych, a — w organizacji, gdzie się daje swą pracę społeczną. Dla odrodzenia rodziny potrzeba nam życia w organizacji i pracy społecznej, która rozszerza widnokrąg myśli, ukazując zagadnienia socjalne, cały ocean krzywd i bólu, przy którym inaczej patrzy się na swoje osobiste — tak ciężkie nieraz do zniesienia — zgrzyoty. Dopiero w pracy społecznej uczymy się tej prawdy, że w życiu społeczeństw niema faktów oderwanych, lecz istnieje olbrzymi, złowrogi spłot przyczyn i następstw, które uderzają, napozór nielogicznie, również i w niewinne głowy tych, którzy zamknęli się w ścianach własnego domu. Staje się mimowolną koniecznością zapoznanie się z całym ruchem, odetchnięcie atmosferą, w której pracują co najlepsze, najgłębsze serca przewodników narodu. A wtedy... wtedy poznaje się tyle umysłów, tak dalekich od przeciętnej miary, tyle charakterów kryształowych, że... jaśniej się zaczyna robić w oczach! Wchodzi się w zupełnie inny świat.

O tem słońcu, które rozpala się nad głowami budujących w trudzie przyszłość, trzeba mówić szerokim rzeszom. Nie można życia opierać jedynie na nakazie obowiązku. Cnota ćwiczenia się w nim jest niezaprzeczalna, zwłaszcza w obecnych czasach pogardy dla wszelkiego przymusu. Ale samem tylko poczuciem obowiązku nie można operować, bo gdy nie rozbudzi się jego zrozumienia i świadomej celów woli — to lada okazja daje wykręcenie się od niego.

Niema takiego zadania, które przerastałoby siły gromady; trzeba tylko w tej gromadzie obudzić rozumienie, że „kto z domu swego nie wyjdzie, by zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić — do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego“. (A. Mickiewicz).

Z. Zaleska.

JAN MAZUR

PROBLEMAT SZKOLNICTWA ŻEŃSKIEGO

Średnia szkoła żeńska, a szczególnie t. zw. żeńskie gimnazjum w obecnym swym ustroju, przechodzi proces przeobrażenia. Nie pomogą starania i usilne zabiegi prowadzących te szkoły pań przełożonych o utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania, gdyż przemiana ta z roku na rok czyni swoje postępy i odbija się w swych skutkach na frekwencji.

A przecież gimnazja żeńskie stanowiły jedyną placówkę kształcenia młodzieży żeńskiej i zapisały się chlubnie w historii narodu. W okresie, bowiem, zabo-

rów podtrzymywały one ten święty znicz miłości ojczyzny, a w czasach największych prześladowań potrafiły uratować ducha narodu i przygotować jego siły do zwycięskich walk o niepodległość.

Z wielu przyczyn tego nieuchronnego przeobrażenia się obecnego typu gimnazjum żeńskiego, pragnąłbym tutaj poruszyć przyczynę zasadniczą: bezprogramowość, wynikającą z obecnego jej ustroju.

Gimnazjum żeńskie nie posiada własnego programu i własnych metod wychowania, dostosowanych

do właściwości psychicznych młodzieży żeńskiej. Żyjąc programem, zapożyczonym ze szkoły męskiej, w ustawicznej dążności do utrzymywania się w prawach narówni ze szkołami męskimi,—musiało stracić z oczu swój zasadniczy cel i kierunek. To też, kiedy szkoła męska (gimnazjum ogólnokształcące) musiała poddać rewizji swoje programy z powodu reorganizacji w dziedzinie pracy i wytwórczości, oraz postępującej stale specjalizacji, — gimnazjum żeńskie, oparte o tę szkołę męską, jeszcze bardziej musiało odczuć to ogólne załamanie wytycznych linii nauczania i wychowania.

Widzimy więc, iż ważną tutaj przyczynę stanowi odrębność „faktury“ średniej szkoły żeńskiej, wynikająca z odrębności psychicznej młodzieży żeńskiej. Zasadniczą jednak kwestją, poza formalnem kształceniem, jest sam cel szkolnictwa żeńskiego. Wtłaczanie zaś szkoły żeńskiej w ramy i programy szkoły męskiej grozić może narodowi, z punktu widzenia społecznego, wielkimi niebezpieczeństwami i nieobliczalnymi wprost stratami.

Jakiż, bowiem, jest cel gimnazjum żeńskiego? Przewszystkiem — wychowanie i wykształcenie uczennicy na przyszłe pionierki kultury narodowej i propagatorki wartości intelektualnych i moralnych za pośrednictwem rodziny w społeczeństwie, przez typowe usprawnienie wychowanek do tworzenia tej rodziny, obok równoczesnego przygotowania ich do ewentualnego zajmowania stanowisk w pracy zarobkowej.

Nie zamierzam wcale kwestjonować przygotowania szkół do tej pracy zarobkowej, choć tutaj zaczyna przychodzić ze swoim, coraz więcej decydującym już głosem, średnie szkoły zawodowe. Pragnąłbym jedynie podnieść moje wątpliwości co do celu zasadniczego, pod względem eugeniki narodowej. Można by, bowiem, w dzisiejszych warunkach postawić zarzut szkolnictwu żeńskiemu, iż wynaturza nasze dzieci przez zaprawianie ich umysłu do abstrakcji i nierozwijanie sfery emocjonalnej. Z drugiej zaś strony — brak własnego programu i ustroju uderza w samo społeczeństwo, w jego organiczną komórkę — rodzinę. Prawda, że działać tu mogą jeszcze i inne przyczyny, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach powojennych. Wszelako te drugorzędne przyczyny nie wywierałyby tak niwelującego skutku, gdyby inne było oddziaływanie szkoły.

Spróbujmy zatem udowodnić ten ciężki zarzut, uczyniony szkolnictwu żeńskiemu. Wszyscy się zgodzimy, iż gimnazjum w obecnym swym ustroju jest przeżytkiem dawnej szkoły intelektualistycznej. Jednostronne kształcenie intelektu doprowadzić musiało do zjawiska hyperintelektualizacji, zwłaszcza w szkole francuskiej i niemieckiej, przy równoczesnym zabiciu strony emocjonalnej. U nas, w czasach zaborów, system ten mniejsze szkody nam wyrządzał, ponieważ utrata samodzielnego bytu państwowego, niewola i na-

dzieja odzyskania niepodległości, oraz przepotężne oddziaływanie naszych wieszczów narodowych — były poniekąd czynnikami, kształcącymi nasze uczucia i wolę. Dzisiaj stan rzeczy się zmienił, ale system pozostał. Szkoła zaś żeńska w kształceniu dominujących skłonności, przez naturę tej płci przekazanych, opierać musi swoje oddziaływanie na pierwiastku zasadniczym tej struktury psychicznej — na emotywności. Wychodząc zaś wyłącznie od strony intelektualnej, tłumi te zasadnicze właściwości psychiczne i zaprawia umysły do odmiennych i niewłaściwych tej naturze reakcyj. Czy takie stanowisko nie utrudnia harmonijnego rozwoju zdolności i nie wypacza edukacji młodzieży żeńskiej?

Irracjonalność programów gimnazjum żeńskiego, obok zatracenia w wychowankach subtelnych uczuć i swoistych dyspozycji psychicznych, wywołuje następnie walkę w ich naturze niewieściej. Jak każde, bowiem, życie organiczne, tłumione w swym biologicznym procesie, do tem większych głębin swej żywotności sięga, by utrzymać w równowadze swe siły rozwojowe — tak i tutaj nienaturalność przeżyć psychicznych przybierać musi coraz jaskrawsze formy reakcyjności, by ratować naturę i jej przyrodzone dążenia. A wszystko w szkole walczy i kłóci się z tą naturą i każe zapominać o sobie. A jak przy tym systemie nauk reaguje natura kobieca, i jakie tutaj zachodzą często neurozy i psychozy — najlepiej zaświadczyć o tem mogą opieki lekarskie przy szkołach. A przecież widzimy, jakie spustoszenia w szkole męskiej czyni ta jednostronność intelektualistyczna programów.

Szkoła zaś tego rodzaju, jako emanacja społeczna, dążyć powinna do najwyższego dobra społecznego: do podtrzymania i doskonalenia typu polskiego. A podwójna tutaj zachodzi obawa i podwójne grozi niebezpieczeństwo.

Czyż więc szkoła, spadkobierczyni apriorystycznych systemów intelektualistycznych i werbalnych, może rozwijać spójnie te zasoby umysłowe i te siły ducha, tkwiące w tak przeważającej formie w sferze emocjonalnej uczennicy? Czyż może spełnić to wielkie posłannictwo, jakim jest doskonalenie typu Polki, tego tworzywa rodziny w jej funkcji społecznej?

Oddziaływanie wychowawcze szkoły żeńskiej zmierza do innego celu. A inne są elementy uwagi i zainteresowania chłopców, niż dziewcząt. To też współczesna szkoła, oparta na najnowszych zdobyczach naukowych, każe budować zręby osobowości danej jednostki na pilnym śledzeniu budzących się tendencji i stosowaniu do nich programów i metod nauczania. Stara się w ten sposób zapobiegać, by skłonności, nierozwijane i niewzbogacane na drodze objektivizacji, nie przerodziły się w zboczenia i choroby, tak fizyczne, jak i psychiczne.

Kiedy więc reforma dotychczasowych systemów szkolnych obrała sobie za główny cel dostosowanie

oddziaływania szkolnego do tych form przeżyć psychicznych, jakie zachodzą w danej fazie rozwojowej dziecka i jakie powinny być punktem wyjścia w tym rozwoju, to procesy psychiczne wychowanek szkół żeńskich w daleko większym stopniu wymagają tego dostosowania.

W reorganizacji więc szkolnictwa żeńskiego już same przedmioty ogólnokształcące, których skończony kurs uprawniałby młodzież żeńską do wstępowania na wyższe uczelnie, lub do zajmowania stanowisk w pracy zarobkowej, muszą być przystosowane do właściwych zadań kobiecych w rodzinie i w gospodarstwie domowym.

Druga specjalna kategoria przedmiotów z psychologii kobiety, pedagogii i ekonomii społecznej dotyczyłaby nauki higieny, nauki o dziecku i gospodarstwie domowym. Nauka ta opierałaby się, poza teorią, na pracy w żłobkach, sierocińcach, ochronach, przedszkolach i innych instytucjach opieki nad dzieckiem. Młodzież żeńska, dbając o higienę powierzonych swej opiece dzieci, sama najlepiej uczyłaby się higieny. Pielęgnując zaś dzieci w instytucjach opieki społecznej, zwracałaby uwagę na racjonalne ubieranie i odżywianie. Przydzielanie dzieci w tych instytucjach

między poszczególne uczennice i odpowiedzialność za stan pielęgnowania nie tylko działałyby kształcące, ale także rozwijałyby przyrodzone zamiłowania.

Odpowiednio dobrana lektura z języka ojczystego czy nowożytnego (biografie dobrych matek, obserwacje dzieci i nauki pedagogiczne), dzieła sztuki, wypracowania z zakresu pielęgniarstwa i gospodarstwa domowego — dopełniałyby programu szkolnego.

Oczywiście, problemat ten jest bardzo skomplikowany i subtelny i, jak opracowanie wszelkiego systemu szkolnego, jest rzeczą dłuższych badań i przygotowań — bo i wynikającą z wartości kulturalnych danej epoki, i rzutuującą w zamierzonych oddziaływaniach w przyszłe pokolenia. To też do rozwiązania go powołane są różne społeczne instytucje i szkoły żeńskie pospołu z towarzystwem eugenicznym, mającym już pięknie zapisaną kartę w swoich pracach badawczych i statystycznych.

A sprawa jest paląca i nie cierpi zwłoki. Bo jeżeli od jakości szkoły zależy przyszłość społeczeństwa, to przede wszystkim od dobrze zorganizowanej szkoły żeńskiej zależeć będzie potęga i rasa całego narodu.

M. H. SZPYRKÓWNA

ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Zioloznawstwo

Mówi się dużo o tem, że w mieście, gdzie pomoc lekarska jest na każde zawołanie możliwa, wykształcenie prywatnych osób w lekarskich wiadomościach ogólnych nie jest konieczne. Że terenem takich zapotrzebowań jest raczej zapadła prowincja, oddalone ogniska robotnicze, a nadewszystko — wieś.

W mieście, istotnie, lekarz zawsze może być, ale to — kosztuje. Naturalnie, poważne wypadki choroby nie kwalifikują się do amatorskiego traktowania. Jednak, wieleż jest takich, gdzie samego lekarza ogarnia złość, że go o coś podobnego się wzywa, często w nocy! Pochodzi to z niezajomości objawów prymitywnej nieraz dolegliwości, jak cierpienia żołądkowe, mdłości, migreny, bóle itd., nie mówiąc o chorobach dzieciennych. Po wiejskich dworach przechowała się jeszcze moc środków, tak zwanych sympatycznych (nie wiem, — komu?) — którymi nasze babcie i ciotki bardzo skutecznie zapobiegały takim nagminnym przypadłościom, nie wdając się w sprowadzanie lekarza, oddalonego nieraz o wiele mil. Przez to przynajmniej były niewątpliwie dobre, że — niewątpliwie — nie mogły być złe, bo wahały się pomiędzy rodzimym rumiankiem czy melissą, a bańkami ciętymi, jako naj-

wymyślniejszym ze środków chytrej sztuki medycznej. Główną rolę grała w leczeniu domowym wiejskiem przekazywana z pokolenia w pokolenie „wiedza tajemna“, w najściślejszym tego słowa znaczeniu, bo i samym wykonawczyniom niezrozumiała: a osnuta na obserwacji wpływów zaiste „sympatycznych“. Wiadomem np. było, co wpływa dobrze na nowiu, a co, bynajmniej, na pełni! Jakie ziółko trzeba zrywać, kiedy kwitnie, a jakie — kiedy zaczyna dopiero wyglądać z ziemi? Na co szkodzą, czy pomagają jarzyny, rosnące w ziemię (marchew, brukiew, buraki, kartofle) — a na co znowu te, które wyciągają się ku górze (grochy, fasole, pomidory, kukurydza itd.). Pomijam już tajemnicze przepisy najprzedniejszych kompozycji, co to „zawierciawszy, będzie maść“ — rozmaite dryjakwie, balsamy i naparzanki! Nie wspominam zupełnie — w braku możliwości wytłumaczenia — jakim sposobem skórki chleba, z wypisanemi na nich literami i krzyżkami, leczyły wściekliznę? Nie wiem sama, czem się tłumaczy „zdejbowanie róży“ albo „zamawianie krwi“, które sama i nieraz oglądałam? W każdym razie, co do jednego punktu te archaiczne sposoby i metody zdają się być w zgodzie z postępek: pod względem zielnictwa.

Leczenie ziołami i najrozmaitsze ich zastosowanie w higienie i medycynie wraca dziś triumfalnie na fali najnowszych prądów, z aprobatą nawet najzacieklej konserwatywnej medycyny urzędowej. Czy powstało, a raczej odrodziło się to pod wpływem kilku kolejno propagatorów medycyny tybetańskiej i wogóle wschodniej, lansowanej w ostatnich latach zagranicą, w Rosji i u nas? Czy przyszło innemi drogami? Dość, że przyszło! Na ostatniej wystawie higienicznej w Warszawie, w zeszłym roku, kiosk zielniczy był obsadzony bardzo mocno i, zdaniem kompetentów, interesująco.

Polska sprowadza za wielkie pieniądze z zagranicy co roku zioła lecznicze, obficie porastające u nas w kraju, lecz niezбирane odpowiednio, albo też możliwe do kultywowania, a nie uprawiane z braku organizacji w tym kierunku. Inicjatywa kobieca, zwłaszcza wieśniaczek i ziemianek, mających tereny po temu, mogłaby oddać znakomite usługi: oszczędzić mnóstwo złotych, które zostałyby w kraju, i uzyskać dla siebie bardzo pokąźny zarobek.

W każdym razie, zielnictwo lecznicze w Polsce — jest to placówka obywatelska i zarobkowa do zorganizowania i objęcia przez kobiety przede wszystkim, gdyż nie wymaga żadnych cech męskich, jak siła, czy walka, a natomiast przewiduje dużo sumiennosci, cierpliwości i zamięłowania, a to do kobiety u nas jest podobne. I, mój Boże! jakoby nic tak z człowieka nie wyplenia jego własnych chwastów, jak praca przy pielęgnowaniu roślin i kwiatów. Nie wiem, czy tak jest, ale — powinnyby tak być! Nie wyobrażam sobie człowieka, któryby, obcując stale w klinice z garbami i wrzodami wszelkiego typu, sam nie rósł trochę krzywo — chyba, że przeciwagę tworzy wielka litość dla kalectwa, które usiłuje naprostować. Nie wyobrażam też sobie innego człowieka, któryby, stale obcując z kwiatami i roślinami, sam nie miał w duszy trochę nieba — chyba, że zasłonią mu je sztuczne nawozy i kalkulacje przyszłych zysków! Kobieta jest jednak zbyt wrażliwa, aby nie przejąc się wszelkiem pięknem, — a świat roślinny jest jednym z niewypowiedzianych słowem cudów stworzenia, którego cudowność polega i na tem, że piękno jego widzi każdy prostem, gołym okiem i niewykształconym umysłem. — Ale wystarczy mu wziąć mikroskop i podręcznik, ażeby się przekonał, że, poza pięknem, kryje się w budowie, celowości, inteligencji i antypatjach roślin mądrość tak olbrzymia i przedziwna, że rozum człowieka objąć jej nie może. — Może tylko skonstatować, że jest — i małemi ułamkami badać pod szkłem jej fragmenty, jak starożytnik bada lupą fragment rzadkiej tkaniny, na jej podstawie odtwarzając wspaniałą kompozycję całości. I, jakkolwiek to wyda się dziwne — matka, która przestaje ze światem kwiatów i ziół nietylko w pokojowych doniczkach, ale na szerokiej ziemi, pod Bożem niebem — inaczej będzie oddziaływała na swoje dziecko, zwłaszcza na synów.

Są domy, gdzie dzieci są przyjaciółmi i małymi pomocnikami roślin, kwiatów i domowych zwierząt — są takie, gdzie są szkodnikami i dręczycielami. Są jeszcze i — obojętne: żyjące obok współtowarzyszy ziemskiej wędrówki, nie z nimi. Po dzieciach najlepiej znać, czem je zdołali napoić rodzice — nie przez morały i nauki, nie o tem myślę! ale przez to najważniejsze, niewymówione, co w każdym stanowisku do dnia codziennego się przejawia: w tem, czem rodzice sami są! Mały człowiek jest zawsze rodzajem kombinowanego lustra, z tych, jakie pokazują w pannoticum: czasem robi z oryginału karykaturę, czasem wyolbrzymia jedne rysy, a skraca inne, i całość wygląda niepodobna, lub nawet odrażająca: a jednak — są to zawsze, zmienione i zniekształcone, ale rodzicielskie rysy! Co innego, że, widząc je, człowiek nie raz chętnie zbiłby lustro! Gdyby to nie kosztowało zbyt drogo.

Zielnictwem u nas zajmują się za mało fachowo. Przed wojną istniała w Małopolsce kooperatywa „Nasze zioła“, która potem przekazała swój dorobek warszawskiej „Plancie“. Skutkiem wadliwej organizacji, „Planta“ przy wielkich możliwościach, zlikwidowała swoją działalność. Obecnie zioła, jako handel, koncentruje firma Hetner (Aleje Jeruzolimskie 65), — co do plantowania, jednak, nie mamy żadnej szerszej organizacji. Miało tem się zająć Min. Rolnictwa. Trzeba jednak nadmienić, że nawet z już gotowych, dziko rosnących, najpospoliciej znanych ziół, Polska nietylko mogłaby się leczyć, ale i zorganizować wielki eksport zagranicę, skąd nadchodziły stale zapotrzebowania jeszcze do firmy „Nasze zioła“ — niemożliwe do wypełnienia skutkiem braku zorganizowanego wywozu. Nasz zwykły sporysz mógłby, jakoby, iść na Amerykę w ogromnych ilościach; datura (jeden z gatunków jest sprowadzany przez nas w przerobionym stanie, jako papierosy od astmy). Śláz, podbiał, i wiele, wiele innych, najniezbędniejszych w aptece i domu ziół — rośnie na każdym miejscu, w rowach przy drodze, na każdym, dosłownie, ugorze, a celowem zbieraniem zajmuje się mało kto. Pieniądze w Polsce, jak się wyraziła pewna amerykanka-zielniczka, dosłownie ugorują! Może teraz, przed latem, któraś z pańziemianek pomyśli o tym najprostszym, najbliższym rodzaju samopomocy leczniczej?... Może Stowarzyszenie Ziemianek, jako takie, zorganizowałoby u siebie jakąś akcję dochodową w tym kierunku, posilując się Młodemi Ziemiankami, a nawet szkółkami miejscowymi, gdzie dzieci za parę groszy będą zbierały, z wielką dla siebie korzyścią, odpowiednio wskazane zioła? Dobrzeby o tem pomyśleć! Literatura zagraniczna ma bogaty księgozbiór w tej dziedzinie, a i u nas to i owo jest. Jest to dziedzina tak pociągająca pomiędzy innemi działami medycyny — kliniką, dentystryką, położnictwem, nawet pielęgniarstwem — że mało która kobieta wybrałaby inną, mogąc wybrać tę. Niechże wybiera!

ANNA SŁONCZYŃSKA

SŁOWO: „ZAPACH“

Gdy mówię: „Zapach“ — to mi się zdaje, że jestem zaraz na letniej łące,
gdzie leży siano: siano zdyszane, siano wilgotne, siano gorące,
albo — w puszystym lesie: w tym lesie, co od mchów miękkie, od szumów gromki,
i kędy słodko, gdy z krwawych warg swych ślą ku nam oddech — usta poziome,
albo — nad morzem, którego wyziew uderza mocno, aż skóra boli,
i trzeba wzdrygać się, bo łaskocze — ostrość ozonu, jodu czy soli,
albo we Włoszech, gdzie zgrzane drzewo swoje najcięższe owoce nianczy,
a oczy mrużą się z upojenia, gdy pocałuje — woń pomarańczy,
albo — w ogrodzie: w polskim ogrodzie, roztrzepotany od swej zieleni,
gdzie raj jest, kiedy ciepłe róż tchnienie z zimnem narcyzów tchnieniem się żeni...

KOTARA Z CHMUR

Na wysoką scenę niebios opadła z najcięższej tkaniny kotara:
aksamitna, powłóczyta, szeroka, falująca, perłowo-szara,
rozjaśniona wypustką z wąskiej lamy, co brzegi jej srebrne obrębia,
wzdychająca fałdami, które wicher raz przybliży ku nam, raz wglębia;
kotara, co niby światła nie puszcza, lecz skoro poruszy się krewko,
to wygląda jakby była podszyta różową, świecącą podszewką,
bowiem w głębi, w niebieskich komnatach, zorze nagą goreją pochodnią,
i chociaż jej nie spalą — swym płomieniem rozchwianym pełgają tuż pod nią;
kotara, co w pewnej chwili się wzdrygnie, jak rozpięte na wicherze żagle,
i, jakgdyby pociągnięta za sznurek nerwowym, szybkim ruchem — nagle
pójdzie do góry, odsłaniając scenę błękitną w złote arabeski,
na której znowu odgrywać się zacnie — najcudniejszy teatr niebieski.

NOC NAD MORZEM

...Ta ciemność — czy to czary, dziwnej pełne mocy?
— Nie! to noc, to noc tylko, to jest magia nocy.
...Ten szum? — To czarne morze w białych, jak śnieg, pianach:
noc na niem gra poważnie, niby na organach.
...Te lśniące, cicho w morze lecące topazy?
— To gwiazdy: złote słowa niebieskiej ekstazy.
...To długie, długie wiosło, co światłem nasyci
wodę, a nic nie pluszcze? — To promień księżycy.
...Ta błogość, co aż dławi nas ową godziną?
— To oddech wszystkich modlitw, co nad światem płyną...



MIŁOSZ GEMBARZEWSKI

2)

UBOGI KREWNY

(nowela)

Z tak daleka! a jednak przedziwne wyostrenie zmysłu wzroku i słuchu zbliżało przejeżdżających ku wspartemu o rozwalony płot szaraczkowi i jego małżonce.

Już, zda się, nie było ani karet, ani rydwanów, ni rumaków, ni dragonji i rezydentów—tylko w przestronnej landarze, w całej nieledwie postaci widoczny, siedział jego mość pan Franciszek z Łyczkowa Działosza, stolnik trembowelski, starosta taborowski, wyniosły personat, w biel i granat kontusza, żupana przybrany, z głową ptaka niedrapieżnego, ale przyjaciele—ptaka, marzycielskiego pieśniarza. Obok, na kolanach i piersi patriarchy wsparty!... Kłękajcie narody! hic sacra, hic gens: syn, dziecię — spadkobierca; mała, niewinna istota, uśmiech, wdzięk, pociecha... przedłużenie nici żywota wielmożnego starosty, stolnika! O, małeńka główko, z ciekawością chyląca się ku zadziwionym twym urokiem niezgrabnym wierzbom, wiodącym ku niechlujnym bajorom miasteczka Błonia! nikt dotąd nie patrzył na ciebie z tak zachłannie radosnym wyrazem siwych, rozświetlonych oczu, jak ten, przy płocie słaniający się nieborak w szarym kubraku, drelichach, rzemiennym pasem opięty, wyschły, pochylony, ale piękniejący i do najbliższych sobie rasą podobny—krewny.

— Kto tam, ojcze, przy płocie stoi?

— Nie wiem — odpowiada, nie patrząc, pan stolnik. Milczenie. Turkot kół. Zgrzyt podkowy o kamień. Poszum wiatru. Znów pytanie, pełne już nietylko ciekawości, lecz jakby i zaniepokojenia.

— Kto tam, ojcze, przy płocie stoi?

— Nie wiem — zamykając oczy, odpowiada pan stolnik.

— Kto tam...?

— Żebak.

— Nie. Spójrzyl!

— Chłop, mieszczanin.

— Nie! nie! nie! Spójrzyl, ojcze!

Panu Franciszkowi Działoszy nie chciało się podnieść znużonej niewywcześnie powieki, więc nie zobaczył pana Andrzeja Działoszy, ale widział go wielmożny panicz Kazimierz, starościc, stolnikowicz i, nie spuszcżając już z oka przygodnie spotkanego szaraczka, z uporem rozgrymaszonego dziecka, niby przekomarżając się, a w istocie coraz więcej zadziwiony biegnącym za nim bystrem, a rzewnem spojrzeniem obcego, ponawiał pytanie do budzącego się wkońcu z zadumy rodziciela:

— Kto tam przy płocie stoi?

Przejechał bogaty krewny. Nie zauważył, nie poznał, nie wstrzymał się. Za krótkie są chwile rozstrzygnięć—za długie dnie następujących po nich szamotań i udręki. I byłby Andrzej Działosza („sławetny“) w ziemię wrósł, jako ta wierzba! i byłby potem z korzeniami z ziemi się wyrwał, a biegł, a złamanem sercem krzyczał: — Mościpanie! mościpanie!

Oto landara owija się mglistością i bezmyślnie bryzga błotem ku miastu Błoniu, ratuszowi, rajcom, popółstwu i „famosusowi“ eks-dziedzicowi z Łukawej, teraz właśnie de oppido Błonie mieszczaninowi, tam, na wygnanie, czyż po wieczne czasy skazanemu?

Przejechał bogacz, posesjonat, krewny. I nic się ma nie zmienić w losach jego biednego kuzyna?!

Nie pociecha, a urągowisko tobie, w popółstwo wbity przybłodo! Spectabilis Melchior i Baltazar wyglądają z za kępy bezlistnej (pani Regina Andrzejo-wa jeszcze nie ochłonęła z wrażenia) i prześmiewają, kpinkują. Trzęsie się głowa łysa i głowa kosmata, którym zdrożność uwiesiła w pośrodku twarzy kartoflowate nosy: siny i czerwony; para grubych pniaków nóg i para cienkich, wykrzywionych odnóży przytupuje z uciechy: „Hej, hej! panie dziedzicu!“ i to właśnie wtedy, gdy Andrzej Wojciech herbu Zadora, a familji Działosza, rozumując, że może Bóg każe mu zostać między takimi sąsiadami, szepcze, myśląc o nich: „Wszakoz i oni Polacy, katolicy. Bądźmy wszyscy braćmi!“

Droga między Sochaczewem i Błoniem, między Błoniem i Warszawą jaka była, taka i jest: szara, pluchawa, wyboista. Postrzępione wierzby-kaleki takoz stoją. Ścierniska, pastwa takie same. A no i ten rów przy kołyszącym się płocie, koło zgorzałego rumowiska. Tylko już niema tak blisko dwóch prawdziwie krewnych dusz. Uniosły je rumaki, z pańska przywołane:

„Niech tam czwórka przed ganek zajedzie!

Niechaj z bata wypali rżęsiście!

Skarogniady ze strzałką na przedzie...“

Pani Regina Działoszyna przypodnosi się z pod krzewu wikliny i mówi głosem, dźwięczącym niesłychanie w jej zwykle surowo zaciśniętych ustach:

— Mężu, przebacz mi! Ty mi przebaczysz?

Teraz zdumiewa się pan Andrzej, ale zaczyna pojmować, że w tej nie rajcowskiej męskiej, lecz kobiecej duszy coś się odwróciło: chyba, że mieć w niej będzie druha. A pani Regina Działoszyna rękę małżonka całuje i jest jako poddana wobec tego blasku, co ku jej mężowi od świetności krewienstwa padł

i go ozdobił. Tylko sławetni Melchior i Baltazar tego nie pojmują, chociaż i im coś dusze przeświała, a rzeczywistość w dziw przetwarza. Z nieokreślonym wyrazem twarzy i niepewnym gestem, niby przyzwyczajając, czy pozdrawiając, podchodzili ojcowie miasta Błonia ku lekceważonemu przez nich sąsiadowi. Może się on i im na coś przyda. Ale bodaj pękłyby im kurty przy ukłonie, jaki, nieprzytomniejąc, składałoby wszem wobec i każdemu z osobna, gdyby przewidzieli bieg najbliższych wydarzeń.

Pan Franciszek Działosza, znudzony ciąglem dopominaniem się syna o odpowiedź, obejrzał się poza siebie i okiem zagończyka objął grupę czterech osób, stojących koło spalonego domostwa. Jakiś szczegół zastanowił pana stolnika; pociągnął niecierpliwie za klamkę od drzwi karocy. Pojazd się zatrzymał.

— A kto to tam stoi, panie ojcze?

Pan Działosza spojrział przez chwilę mgliście na syna i, coś sobie przypominając, rzucił w przestrzeń pytanie głosem zmienionym, dochodzącym jakby z wielkiej odległości: — Nie wiecie? czy to miasto Błonie?

— Tak jest, jaśnie wielmożny panie dziedzicu! — potwierdził laufer, który, gotów na rozkazy, znalazł się zaraz tuż obok drzwiczek pojazdu.

A dziedzic, w którym przez chwilę jeszcze odrobina samolubstwa i zasłona niepamięci walczyły z szczeropolską dobrocią, nagle na twarzy krwią najserdeczniejszą purpurowiejąc, szeroko rozwartymi ustami rzucił rozkaz do swego otoczenia:

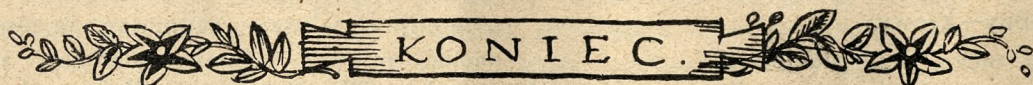
— Wy — stać! A ja... zawracaj! i... w konie!!

Utkwiły w błocie koła karet, brożków, rydwanów; zaryły w ziemię kopyta woźniki-cugowe; wstrzymał się w marszu oddział węgrows, strzelcy i dragońska arjergarda; zdumieli się rezydenci, kapelanowie, sekretarze, krajczy, rękodajni, pokojowcy. Stał orszak strojny i dostojny, a tylko landara majestatycznie, faliście płynęła z powrotem, jak ku miejscu przeznaczenia dla tych, co w niej zasiadali, a którym serca były bardzo mocno.

Kiedyś mówiono panu stolnikowi, że jego stryjeczny w tych stronach osiadł, i to się mu teraz przypomniało. Przedewszystkiem: chciał o tem pamiętać.

Niby to obaj panowie Działoszowie, herbu Zadora, mieli z początku na myśli, by z całą szlagońską ceremonją: niskie skłonienie całej postaci, gest prawej ręki ku dołowi, lewa ręka na sercu, ugięcie kolana.. Nie! Bo najbardziej polskim i rodzinnym miał być uścisk prawicy, potem ujęcie w ramiona i długie trwanie w tej zbratanej postawie: — Panie bracie... panie bracie...

Tak stać się musiało w kraju, gdzie, gdy zejdzie się dwóch tegoż samego nazwiska, to niemasz dwóch różnych ludzi, a jest jeden: ród, familja; gdy radosną lub smutną, wszech obchodzącą nowiną rozbudzi się echo, to niemasz stanów, a jest jedno: plemię; gdy hasło wici zbłyśkawiczej — niemasz osób, rodów, plemion: jest tylko Naród, broniący Ojczyzny. — Kochajmy się!



EWA SZELBURG

KUKUŁKA

Pani Jadwiga wracała od obór ku domowi.

Ciepłe, przepojone zapachem mlecznych wymion i gnoju, powietrze nie otrząsnęło z niej resztek snu, przerwane zbyt wcześnie. Czula jeszcze jego słodki posmak w całej sobie: w ledwo dostrzegalnej siateczce zmarszczek pod oczami, na zaróżowionej powierzchni policzków, dotkniętych delikatnymi plamkami wiosennych piegów, w miękko zginających się kolanach, w ociężałości ramion i sytkości włosów, wymykających się z pomiędzy grubych, rogowych szpilek. (Włosy dotąd jeszcze miała długie. Mąż był wrogiem „postrzyżyn“, a zresztą — gdzie tu na wsi myśleć o ondulowaniu?!)

Ranek był jeszcze wczesny, biało-chłodny, ale już cały zanurzony w tężejącem z każdą chwilą słońcu. Ptaszki, drobne i ruchliwe, jak myszki, przebiegały to po ziemi, to po powietrzu, próbując śmiało niewprawnych jeszcze, ale już czystych, jak rosa, głosików.

Pani Jadwiga szła szybko, i wełniana sukienka, o przeszłorocznym kroju i pozapeszłorocznym deseni, wydała jej się zbyt ciepłą na dzień, zapowiadający się tak pogodnie. Podniosła rękę do szyi i rozluźniła fularową kokardę.

Na skrócie uliczki zamajaczyły krzaki agrestowe, rozpylone nad czarną ziemią w delikatne, zielonkawe mgiełki.

— Chwała Bogu — szepnęła pani Jadwiga — że się nareszcie ociepliło. Owoce w tym roku nie przepadną...

Mimowoli skręciła w drózkę, wiodącą do sadu.

Otoczyły ją szerokobiodre i muskularne nagie jabłonie w perłach pąków i młodziutki, wstydlive wisienski, otulone białymi obłoczkami.

Przez głowę pani Jadwigi, muskaną lśnąciami paluszkami gałązek, przesuwały się strzępki sennych jeszcze myśli. Nie mają one określonego kształtu, ani wyraźnej barwy... Może są to tylko wspomnienia codziennych spraw wczorajszych? Może plan zajęć na dzień dzisiejszy?

Pani Jadwiga bezwiednie skręca znów, tym razem w stronę kępy drzew, otaczających ławkę, stojącą na urwisku, pod samym parkanem.

Stare jesiony nie mają jeszcze liści.

Nagie ich pnie i nagie gałęzie prostym deseniem przystrajają skąpo błękitny wełniak nieba, zakończony u dołu speszłym obrąbkiem łąki.

— Po cóż ja tu właściwie?... — ocknęła się zaraz pani Jadwiga, utknąwszy oczami w pustej siatce jesionowych witek, zarzuconej na niebo.

Wtem—łopot! Duży, szaro-srebrny cień przeciął złociste słońce i opadł ptakiem na nagi konar drzewny. Głos, dźwięczny, jak dzwon rezurekcyjny, nappełnił pustkę, rozsnutą między niebem a ziemią:

— Ku-ku! Ku-ku!

— Kukułka!!! — krzyknęła pani Jadwiga zdławionym ze wzruszenia głosem.

— Kukułka... — powtórzyła ciszej i obiema rękami przycisnęła serce.

— Ku-ku! Ku-ku! — dzwonił wysoko pijany wiosną głos zakochanego ptaka.

— ...ku-ku ...ku-ku — echem odpowiedziało w dole zbudzone serce.

Zjędrniałe nagle ramiona objęły szorstki pień jesionu, do zimnej kory przywarły drzące piersi i wargi, wargi stulone... Twarde rogowe szpilki zeslizgnęły się po ramionach, zapadły w mech, w trawę, a ciężki warkocz biczem rozkoszy spłynął po wyprostowanych nagle plecach i rozsypał się tysiącem płomyków wzdłuż bioder.

Krótkie, urywane westchnienia—łapczywie chwytane wargami hausty odurzającej wiosennej woni...

W upitych wiosną oczach wspomnienie...

I oto podnosi się twarz, z której uśmiech wiosniany starł na tę chwilę lata i troski, podnosi się twarz — twarzyczka ku szaremu wróżebnemu ptakowi na wysokim konarze:

Kukułeczko-panieneczko
z pachnącego zieleń
powieźże mi, ile latek
do mego...

Zachłysnął się głos pytający ostatniem słowem, załamał się i umilkł.

Umilkła i kukułka.

W podwójnej ciszy zatętniły głośno podkowy.

Jedzie ktoś konno drogą poniżej, po tamtej stronie parkanu.

Trap! trap! trap!

Podnosi się wgórę płaska czapka z nad bujnej, szpakowatej czupryny:

— Dzieńdobry, pani Jadwigo!

Mocne, siwe oczy lecą aż do stóp jesionu, a natrafiwszy na dziewczęcy, spłoszony uśmiech, same się płoszą:

— Jak... jak pani... dziś ślicznie wygląda, pani... Jadwiniu... jak w t e d y...

A Jadwiga cofa się, cofa za jesiony... drżącymi rękami zwija warkocz.

Goniona śmiechem kukułki, wraca pani Jadwiga ogrodową ścieżką.

Wraca najkrótszą drogą do domu.

Co krok przyśpiesza kroku. Już prawie biegnie...

W jadalni przy stole mąż, bona, dzieci.

Na zegarze nad stołem... wpół do dziewiątej...

— Moja Jadziu — mówi z naciskiem mąż — czekamy.

— Mamo! kawy! — napierają się jak na komendę dzieci.

— Silence — syczy zrozpaczonym szeptem bona.

Pani Jadwiga wyrzuca jednym tchem: — Słyszałam kukułkę! — i nagle czerwienieje w obliczu popelnionego głupstwa.

Na szczęście, ginie wszystko w ogólnem zamieszaniu. A kiedy po skończonem śniadaniu i podziękowaniu rodzicom dzieci wyszły z boną, i pani Jadwiga ociężałe podnosiła się z krzesła, mąż położył kwadratową dłoń na jej szczupłej ręce.

Podniosła zdziwione oczy i napotkała na kanciastej twarzy męża miękki uśmiech:

— Mówiłaś, że usłyszałaś dziś kukułkę, a więc — lewą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął stary portfel z kozłowej skóry — ...a więc, żeby szelma kukułka nie skłamała, oto na letnią sukienkę dla ciebie, Jadziu, a to na ubranka, czy tam na co, dla dzieci...

Pani Jadwiga uśmiechnęła się uśmiechem, który nieco pogłębił drobne zmarszczki koło jej piwnych oczu, i serdecznie objęła męża za szyję:

— Jakiś ty dobry...



Z ŻYCIA EKРАНU

(Powieść w kinie)

Sprawa przeróbek powieści na obrazy filmowe jest zawsze jeszcze sprawą, podlegającą dyskusji, zarówno ze strony literatów, jak filmarzy, gdyż zahacza zarówno interesy jednych, jak drugich. Literaci przez długi czas nie zdawali sobie wcale sprawy z tego, że kino nietylko nie odbiera im czytelników, ale ich nawet przysparza. Naprz. w okresie wyświetlania „Mogily nieznanego żołnierza“ nie można było w czytelnictwie doprosić się o tę książkę. Mamy więc przykład, że, adoptując dla ekranu cenniejsze utwory beletrystyczne, kino popularyzuje nazwiska, które dla szerokich mas długo jeszcze zostałyby nieznanymi, lub nic nie mówiącymi. Jakaś skromna panna sklepowa dowiaduje się w kinie (tak, właśnie w kinie!) że istnieje niejaki pan Strug, który taką piękną historję wymyślił; rzewnie się na niej spłakała i, chcąc odnowić wrażenia, zechce napewno przeczytać książkę. W ten sam sposób często dowiaduje się o istnieniu autorów obcych—dawnych i współczesnych—zaczyna interesować się nimi, „lubić“ ich, przekładać jednych nad drugich, słowem—wchodzi w świat Literatury. Obok kina, zaczyna dla niej istnieć—książka.

Tak więc—za kamienie, rzucane z literackich okopów na kino, jako na niepożądanego konkurenta, X muza odwdzięcza się przygotowaniem całego zastępu „nowych czytelników.“

Oto jak wygląda strona wychowawczo-społeczna sprawy.

A teraz—jak wygląda strona artystyczna? Otóż z przeróbką filmową dzieje się to samo, co z przekładem: albo jest wierny i zły, albo dobry i niezupełnie wierny. Naturalnie, bywają wypadki, kiedy bywa... i zły, i niewierny.

Ostatnio mieliśmy w kinach aż cztery filmy, zrobione ze znanych powieści: „Przedpiekle“, „Chata wuja Toma“, „Miłość Joanny Ney“ i „Alraune“. O „Przedpiekle“ pisałam w ostatnim feljetonie. Dziś zacznę więc od Beecher Stove, gdyż kobietom należy się pierwszeństwo. „Chata wuja Toma“ jest właśnie przykładem filmu, w którym więcej myślano o książce, niż o ekranie. Reżyser starannie zachowuje w filmie każdą, choćby najmniej ważną, scenę książki, każdą epizodyczną postać. Stąd wytwarza się pewien chaos, z którym widz nie zawsze sobie radzi. Na przestrzeni dwugodzinnego przedstawienia niema czasu uporać się z temi wszystkimi osobami i z zdarzeniami, jakoś je ułożyć i zaklasyfikować. Jednakże, ani zbyt naturalizm niektórych scen i niepotrzebne ich rozwlekanie, ani nawet niefortunnie wybrana odtwórczyni głównej roli kobiecej, ani wreszcie cała realizacja filmu, obliczona na wrażliwość dość prymi-

tywną—nie mogą w nas zabić sentymentu, z jakim wskrzeszamy wspomnienie o pierwszym spotkaniu z wujem Tomem, kiedy to, przejęci do głębi książką, czuliśmy się istotnie braćmi uciśnionych murzynów. Dziś, kiedy lata dzieciństwa minęły, takie chrześcijańskie uczucia, niestety, rzadziej mają dostęp do naszych serc i to nietylko dlatego, że... murzyni nie potrzebują naszego współczucia i obrony!

Na „Miłości Joanny Ney“ czujemy się zato w świecie filmu. Jest to jedna z niewielu doskonałych przeróbek, nad którą ani przez chwilę nie ciąży książka. „Jeżeli Erenburg nie znalazł tam siebie, to już jest sprawa między nim, a reżyserem Pabstem“ — pisze M. J. Wielopolska. Słusznie! Nas to nie obchodzi. Erenburg mógł tam nie znaleźć siebie, gdyż nie znalazł tam swojej tendencji, ale myśmy znaleźli wszystko to, co było w jego książce—poza tendencją—i to nas właśnie zadowoliło. A więc—te same doskonałe typy, to samo środowisko, to samo tło, tę samą akcję wreszcie (tylko o innem zakończeniu), a wszystko to—żyjące swoim własnym, filmowym życiem i nie szukające oparcia w napisach i pamięci tych, którzy znają książkę. Reżyser i operator byli tu naprawdę współpracownikami autora: postaciom i zdarzeniom, stworzonym przez jego wyobraźnię, nadali taki kształt, jaki w ramach możliwości kina wydaje się nam najbliższy prawdy—z ruchomych fragmentów, zdejmowanych z różnych punktów, z krótkich, syntetycznie ujętych sytuacji, z doskonale postawionych ról i umiejętnego montażu—stworzono jeden z najudatniejszych filmów ostatniej niemieckiej produkcji.

Inaczej zabrał się do swego zadania realizator „Alraune“. Z powieści Eversa wziął tylko legendę o mandragorze i przyjście na świat Alraune. Był to punkt wyjścia dla stworzenia zupełnie innej historii, w której wprawdzie występują także niektóre postacie z powieści, ale role ich są inne. Fabuła tej zmienionej „Alraune“ jest nawet nienajgorsza, ale nie przedstawia pod względem kinowym pola do większych efektów, niż powieść Eversa, raczej dzieje się wprost przeciwnie. Reżyser, widocznie, nie miał w tym kierunku specjalnych ambicji. Natomiast osi i największą ozdobą filmu jest gra Pawła Wegnera i Brygity Helm. Obawiam się, że dzięki tym kreacjom Europie znów ubędą dwa wybitne talenty. Zwłaszcza Brygita Helm będzie dla Ameryki sensacyjną zdobyczą. Jej Alraune, pomimo całego nieprzepatnego uroku kobiety, ani na chwilę nie przestaje być jakimś tworem nieczystej siły. Wierzy się w jej „uroczność“, rozumie się, dlaczego w średniowieczu takie kobiety palono na stosie. Jakaś dziwna uroda, piękne kształty, spojrzenie,

ruchy, nawet tualety i sposób ich noszenia—wszystko czyni ją niezapomnianą. Szkoda tylko, że zakończenie filmu, nazbyt ludzkie, spycha Alraune do rzędu zwykłych „wampirzyc”, od których cała kreacja Brygity Helm jest tak daleka.

Widzimy z tych paru przykładów, jak różnie można sobie poczynać z materiałem powieściowym. Jeżeli zechcemy użyć tu porównań muzycznych, to powieść w kinie może przedstawiać się, jak opera w wyciągu fortepianowym, albo jak parafraza jakiegoś utworu, albo jak temat z warjacjami, albo jak utwór, pisany na instrumenty smyczkowe, przerobiony na detę orkiestrę... Rezultat artystyczny przeróbek filmowych zależy ostatecznie tylko od talentu realizatora, od jego wyczucia formy, dla danej przeróbki najodpowiedniejszej. Wśród tłumaczy wizyj myślowych na obrazach wizualne, tak samo, jak wśród tłumaczy z jednego języka na drugi, spotykamy utalentowanych artystów, zdolnych i sumiennych rzemieślników i—zdecydowanych partaczy.

Stef. H.



TEATR NARODOWY

„Budowniczy Solness” sztuka w 3 aktach Henryka Ibsena—reżyserja p. Aleksandra Zelwerowicza, dekoracje p. Antoniego Aleksandrowicza.

„Budowniczy Solness” to pean, jaki Ibsen wyśpiewał na cześć młodości. Tej nieśmiertelnej młodości ducha, co każe ludziom dojrzałym piąć się na wyżyny i wieńce triumfu zawieszać na szczytach potęgi i bohaterstwa. Budowniczy Solness nie jest już do takich porywów zdolny. Dostaje zawrotu głowy na wysokościach. Niegdyś wznosił kościoły dla Boga; potem, gdy dom jego szczęścia osobistego zgorzał dzięki jego własnym, podświadomym nakazom, mistrz zaczął budować domy dla ludzi.

Oto teraz właśnie wykończył siedzibę dla siebie, dom, uwieczony niebotyczną wieżą. Ale wejść na nią po rusztowaniu już nie może. Jest stary. Boi się młodych sił, które zdają się czyhać na jego sławę, władzę, stanowisko w świecie. One to lada chwila mogą go zepchnąć z drogi i podeptać, podobnie, jak on depce wyzyskanego przez siebie starca Brovika. Brutalność nie jest objawem siły; jest dowodem słabości. Solness co chwila potyka się o starcze odruchy samoobrony. Coraz silniej oplątują go pajęczce

sploty lęku przed sobą samym, przed tajemniczymi siłami, które w nim drzemią. One wyprowadziły go na szczyt powodzenia, one go z niego zepchną w przepaść na mocy niezłomnego prawa odwetu.

I oto do drzwi mistrza, łamiącego się na drodze zwątpień, puka młodość w osobie Hildy Wangel. Ta młodość, której lękał się, której czekał, której podświadomie pożądał. Ona każe mu iść z wieńcem na szczyt jego ostatniego domu, ponad prawa kościoła i spopielałe ognisko rodzinne, stoczyć tam prometejski pojedynek z Bogiem, którego wynikiem może być tylko śmierć. Mistrz Solness spada z wieży, którą sam zbudował. Wdarł się na nią nadludzkim wysiłkiem, ale nie mógł opanować zawrotu głowy. Dzieło własne go przerosło. I to jest tragedia Solnessa.

Czy tę tragedję zrozumie dzisiejsze pokolenie twórców? Czy przemówi ona do nich tym potężnym głosem, który wstrząsał do głębi rówieśników Ibsena? Nie wiem; ale trzeba naprawdę jego genjuszu, aby, operując użytymi już dziś dla nas rekwizytami symbolów, wywołać na widowni właściwą reakcję. Ta reakcja byłaby napewno silniejsza, gdyby artyści więcej „ibsenizowali”. Ale teatr dzisiejszy zanadto wyłamał się z pod dyscypliny skupionego nastroju, aby mógł dać studjum zwarte, jednolite, bez rys i pęknięć, przez które sączy się jaskrawe światło realizmu.

Brydziński hamletyzował raczej nowocześnie, jego Solness był schyłkowym światowcem, maskującym brutalny egoizm nieposzlakowanym krojem zakietu.

Gromnicka była uroczą, jak poranek wiosenny.

Uwodziła Solnessa czarem młodości zgola niesymbolicznym, ale w ostatniej scenie zabrakło jej głębi. Krzyk nie zawsze pokrywa się z tragizmem.

Broniszówna była uosobieniem spopielałego do szczętnie ogniska rodzinnego. Snuła się po scenie, jak wyrzut sumienia, jak widmo raju utraconego. Słowo „obowiązek” brzmiało w jej ustach głucho, jak garść piasku, rzucana na trumnę. Ona i Staszkowski w roli starego Brovika, najbardziej może zbliżyli się do ibsenowskiej koncepcji. Reszta artystów dała z siebie, co mogła i jak mogła najlepiej.

Najbardziej wyraziście i stylowo wypadł akt pierwszy; w następnych—akcja, zamiast wzmacniać się, właściwie słabnie stopniowo. Wina to Ibsena, nie reżyserji; ale zadaniem reżyserji jest w takich wypadkach podeprzeć jaknajwiększą sumą energii dynamicznej punkty najsłabsze

Dekoracja p. Aleksandrowicza w pierwszym akcie b. pomysłowa; dyskretnie podkreśla intencje autora.

S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WALNE ZEBRANIE KLUBU POLITYCZNEGO KOBIET POSTĘPOWYCH.

Klub Polityczny Kobiet Postępowych odbył w Warszawie swe doroczne walne zebranie w dniu 19 kwietnia.

Przewodniczyła p. Szelałowska.

Sprawozdanie zarządu za rok ubiegły odczytała sekretarka zarządu, p. Marja Kiernikowa. W sprawozdaniu podkreślono różnorodną działalność klubu.

Na terenie pracy politycznej główną sprawą były wybory do parlamentu. W akcji przedwyborczej wzięły czynny udział członkinie klubu, pracując w komitetach wyborczych Demokratycznego Komitetu Kobiet Polskich, w komitetach P. P. S i t. d., zależnie od osobistych przekonań politycznych. Toteż klub, liczący zaledwie 160 członkiń, może się poszczycić, że na 12 kobiet w Sejmie i Senacie — 4-ry są członkiniami K. P. K. P., a mianowicie: senatorka Daszyńska-Golińska, i posłanki: Jaworska, Piaussowa i Waśniewska.

W okresie wyborczym, pragnąc zapoznać członkinie z różnymi programami wyborczymi, klub urządził szereg wieczorów dyskusyjnych z wybitnymi przedstawicielami Partji Pracy, P. P. S, Wyzwolenia, Partji Chłopskiej.

Na terenie trójnarodowej działalności klubu wykazała się udziałem w zjazdach i pracach organizacji kobiecych, jak Petite Entente des Femmes, oraz Liga Kobiet Pokoju i Wolności.

Sprawy obrony praw kobiecych poruszane były przez zarząd K. P. K. P. z racji ustawy o sądach powszechnych, odmawiającej kobietom udziału w kolegjach sędziów przysięgłych, oraz z racji wypadków drobniejszego znaczenia, jak np. okólnik ministra poczty i telegrafów o „pozwoleniach“ mężów i narzeczonych na pracę kobiet na poczcie. Zarząd klubu przedyskutował pozatem projekt ustawy o opiece nad ofiarami nierządu i uwagi swe, oraz poprawki, przesłał czynnikom miarodajnym.

Po przyjęciu sprawozdania zarządu, wysłuchano i przyjęto sprawozdanie finansowe, w myśl wniosku komisji rewizyjnej.

W dyskusji nad wolnymi wnioskami poruszano szczególnie kwestję rozszerzenia prac klubu i zorganizowania oddziałów prowincjonalnych, oraz podkreślano żywotną potrzebę zwiększenia sił klubu.

Wybory do zarządu dały wynik następujący—pp.: Dr. J. Budzińska-Tylicka, S. Bujak-Boguska, Cykowska, Z. Dąbska, pos. M. Jaworska, dr. M. Kiernikowa, E. Kipowa, Kulwiecziowa, T. Męczkowska, pos. E. Waśniewska, Wasilewska. Na zastępczynie—pp.: Duninówna, J. Krawczyńska, J. Ringmanowa, Z. Stankiewiczówna Stanowska. Do komisji rewizyjnej weszły pp.: M. Dobrzańska, Dr. H. Stycz-Naglerowa i M. Olszewska.

J. K

PRACA KOBIECA W ZWIĄZKU STRZELECKIM

Pisma kobiece piszą przeważnie o organizacjach wyłącznie kobiecych, a strzelczynie stanowią tylko część ogromnej organizacji mieszanej „koedukacyjnej“. Stąd może mniejsze, niżby należało, zainteresowanie naszą pracą w sferze kobiet, przodujących ruchowi kobiecemu,

Zresztą praca kobieca w Związku od niedawna dopiero zaczęła się szerzej rozwijać; tylko ludzie, najbliżej niej stojący, czuli i widzieli, że z tej, ledwie tlejącej przed paru laty, iskierek wybuchnie niebawem silny, gorący ogień, który ogarnie swym płomieniem cały obszar Rzeczypospolitej.

Ubiegły rok 27 położył bardzo szerokie i gruntowne podstawy pod kobiecą organizację Związku. A wygląda ona, jak następuje:

W Komendzie Głównej Związku jest oddzielny referat Pracy Kobiet, który, w ścisłym kontakcie z innymi referatami, jako to: organizacyjnym, oświatowym, wyszkoleniowym i sportowym — kieruje całokształtem prac kobiecych.

Ścisła ta łączność jest ogromnym ułatwieniem w pracy, gdyż wszędzie tam, gdzie są męskie oddziały Związku, a niema jeszcze

kierowniczych sił kobiecych, możemy jednak rozpocząć, a często nawet bardzo skutecznie prowadzić pracę kobiecą.

Praca ta idzie w trzech kierunkach: wychowanie obywatelskie, przysposobienie wojskowe i wychowanie fizyczne.

Od tego trzeciego działu, jako od czynnika najbardziej agitatywnego, prawie zawsze rozpoczynamy.

Zanim zacznie się do świeżo zwerbowanych strzelczyń mówić o ideologii Związku, lub przedstawiać im, jakie zadania spełniać mogą kobiety podczas wojny — dajemy oddziałowi piłkę lub łuk, prowadzimy go za miasto na wycieczkę, lub organizujemy lekcje gimnastyki.

Zespoliwszy i ożywiwszy tym sposobem oddział, zaczynamy prowadzić łatwe pogadanki, organizujemy chór lub trupę teatralną, by po upływie paru miesięcy dopiero przejść do systematycznych wykładów i szkolenia w zakresie wiadomości wojskowych, kursów sanitarnych, obrony przeciwgazowej i t. p.

Taka metoda pracy okazuje się jedyną w środowiskach, w których pracuje Związek, a więc w sferach ludności pracującej miast i wsi. A do tych sfer właśnie nam w Związku trafić łatwiej niż innym organizacjom, bo trafiamy tam przez zorganizowanych już mężczyzn-strzelców.

W końcu roku 27 i początkach 28 — kobieca organizacja Związku rozwija się wprost żywo.

Ilość oddziałów dosięga dziś 200, a co ważniejsze jeszcze załadki pracy wszędzie już się potworzyły: we wszystkich, najbardziej kresowych województwach, najodleglejszych często wioskach i miasteczkach prowincjonalnych.

Dającemu się silnie odczuwać brakowi instruktorek i komendantek oddziałów zaradza się, organizując w bieżącym roku miesięczne, skoszarowane kursy we wszystkich prawie okręgach.

Na kursy te przyjmowane są strzelczynie po jednej lub dwie z jednego oddziału, jednostki, upatrzone na kierowniczkich oddziałów samodzielnych, względnie drużyn lub sekcji przy oddziałach męskich.

I tak w ostatnich miesiącach kursy takie odbyły się: w Toruniu, Przemyślu, Krakowie, Wilnie trwają w Warszawie i Łucku, a w tych dniach rozpoczyna się w Kielcach, Lublinie, Lwowie, Grodnie, Nowogródki i Cieszynie.

Zastęp młodych pionierki pracy strzeleckiej, pełnych zapału i zasobów świeżo nabytych wiadomości, z wiosną przystąpi już do pracy, organizując cały szereg nowych placówek strzeleckich i pracując w uprzednio założonych, przedewszystkiem nad przygotowaniem do naszych największych imprez sportowych: „Marszu Szlakiem Kadrowki“ i jesiennych zawodów sportowych o mistrzostwo Związku.



Strzelanie z łuku.

O POLSKOŚĆ NASZYCH WNĘTRZ

III. MEBLE

Czasy dzisiejsze, jako doba przewartościowywania wszystkich wartości, mają tę wielką zaletę, że sprawy zarówno małej, jak i dużej wagi, kolejką, każda, podlegają sprawdzaniu, przewietrzaniu, kto wie, czy nie wywróceniu, jeśli okaże się tego potrzeba.

Każde społeczeństwo w dobie powojennej wrzuca do kotła naprzemian swe sprawy najżywotniejsze, najbardziej je absorbujące. U nas, jeśli nie najważniejszą, to w każdym razie ważną jest sprawa odcudzenia ziemczona Polski w dziedzinie najprostszej, codziennej, obchodzącej wszystkie warstwy — w dziedzinie mieszkań, naszych wnętrz; boć przecie mieszkanie nasze, jak spożywanie chleba powszedniego, jest dla wszystkich najważniejszą sprawą bytowania.

Mieszkania nasze—to jedna z najsmutniejszych polskich spraw. Poza pałacami, oraz wnętrzami wyjątkowo kulturalnych, czy też w dziedzinie tej uświadomionych osób, wnętrza polskich mieszkań—to nielogiczne zbiorowisko sprzętów szpetnych, niczem z sobą niespokrewnionych, narzuconych nam przez rynki zagraniczne, a przyjmowanych bez najmniejszego z naszej strony sprzeciwu—w sposób przeraźliwie smutny czynią z naszych mieszkań śmietnik, wchłaniający najochotniej wszystko, co idzie z „zagranicy“.

Czas już najwyższy zrozumieć, iż bierność taka przynosi nam ujmę. Musimy być wielkimi niedołączkami, niezdolnymi do żadnego wysiłku twórczego, jeśli wszystko musimy dostać gotowe z zagranicy, która z kolei wysyła nam najgorszą, przygotowaną specjalnie na export, tandetę.

Że tak nie jest w istocie, że Polska posiada świetne talenty twórcze, znakomitych pedagogów w szkołach zawodowych—dowodem niezbitym jest sukces Polski na Wystawie Paryskiej w 1905 roku, gdzie zajęliśmy na rynku światowym pierwsze miejsce twórczą oryginalnością wnętrz i prowadzeniem szkół zawodowych, nagrodzonych specjalnie za system nauczania.

Skoro więc obcy nagradzają nas i wyróżniają, czy nie należałoby gdzieindziej szukać powodu owego braku własnej fizjonomji polskich mieszkalnych wnętrz?

Aby sprawę wyjaśnić i przyjrzeć się jej dokładnie, musimy przejrzeć chociażby pobieżnie historję mebla, tego najbliższego przyjaciela człowieka, tego zwierciadła epoki, przemian i wydarzeń, jakie przeżywały narody, bądź tworząc go samodzielnie, bądź przejąwszy go od najbliższych sąsiadów, przetwarzając i przystosowując do własnych potrzeb.

Meble więc, jak wszystko, co człowieka otacza, są wyrazem jego ducha, lub wykładnikiem jego upodobań.

Egipcjanie i asyryjczycy sprzętom swym, np. krzesłom, łóżom—nadawali formy proste, przeważnie z nogami i oparciami pionowymi. Wyrazem zbytku było zdobienie metalami, emalją, kością słoniową, siedzeń zaś—tkaninami dywanowymi.

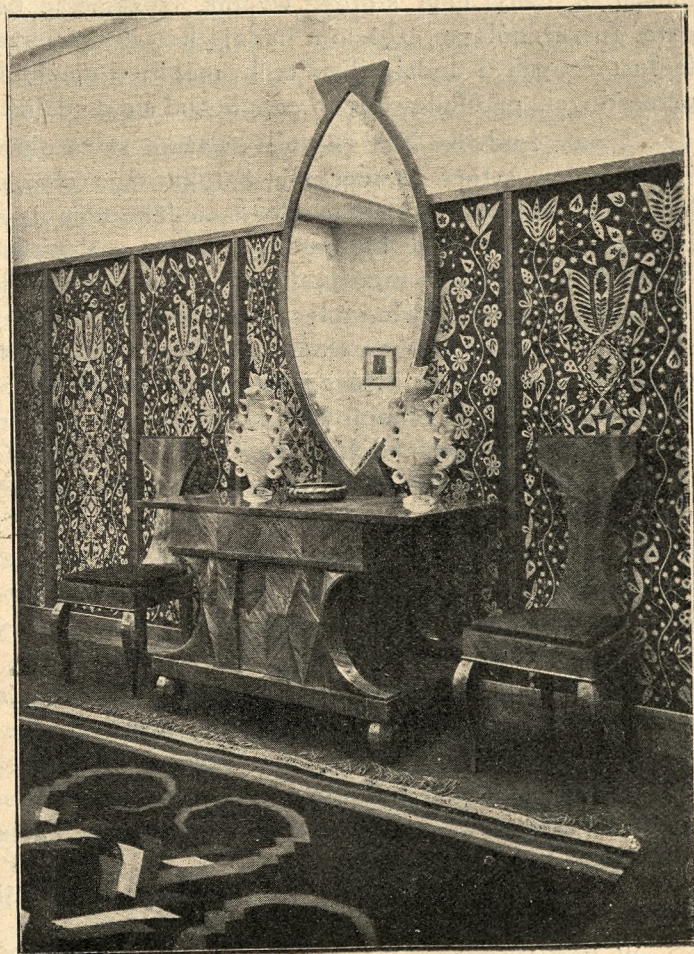
Grecy i rzymianie, zachowując konstrukcję mebli wschodnich, wyginali poręcze i nogi sprzętów, dostosowując je bardziej do swojej wygody.

Naogół meble w starożytności były nieliczne. Szaty chowano do kufków i skrzyń, umeblowanie ograniczało się do sprzętów najniezbędniejszych; główny nacisk kładziono na dekorację ścian, wykładanych barwnym stiukiem, lub malowanych. Kolumny, filary i zasłony, posadzki z mozaiki kamiennej, inkrustowane, układane we wzorzyste obrazy, domy przeważnie z marmuru i kamienia — klimat, potęga i bogactwo złożyły się na te wspaniałe w swej prostocie i imponujące wnętrza starożytnych.

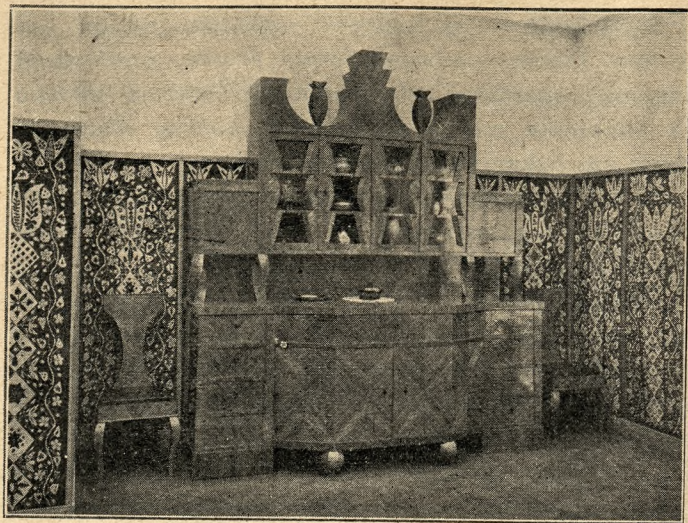
W średniowieczu meble wiązały się niepodzielnie z architekturą wnętrz. Ławy więc drewniane i kamienne wbudowywano w nisze okienne, szafy wmurowywano w ściany, półki i skrzynie wiązano z buazerją ścian.

Meblami ruchomymi były ławy, kredensy, stołki.

Epoka romańska ozdabia proste formy swych mebli rzeźbami lub malowidłami, przedstawiającymi



Jadalnia według projektu W. Jastrzębowskięgo



Jadalnia według projektu W. Jastrzębowski

badź kompozycje figuralne, badź wzorzyste arabeski.

Gotyk lubuje się w zdobnictwie snycerskiem, które rozwinęło się specjalnie na północy, ozdabia także meble wprawioną w drzewo cyną, lub kością słoniową.

Epoka Odrodzenia wnosi w światowe meblarstwo kolumny, pilastry, figury, rzeźby, malowidła — zdobi wykładzinami z marmuru, kamieni, barwnego drzewa, mosiądzu, cyny; nogi stołów wygina, rzeźbiąc je bogato, poszczególnym częściom nadaje kształty zwierząt fantastycznych i ludzi. Typ tych mebli — ciężkich, przesadnych, przeładowanych — zachował się do dzisiaj.

Czasy Ludwika XIV (Barok) uważane są za okres świetności w sztuce francuskiej. Sztuka tego okresu, hołdująca wyłącznie monarsze, będąca dekoracją jego świetności, zarówno w meblarstwie, jak w malarstwie i zdobnictwie, — jest pompaticzna i, panując w Europie nieprzerwanie przez całe stulecie, dziś jeszcze, niestety pokutuje, choć nie ma przecie nic wspólnego ze współczesnym człowiekiem. Za czasów Ludwika XIV powstaje pierwsza we Francji Szkoła meblarstwa i warsztatów gobelinowych, dokąd napływają zamówienia z całego świata, a wykonywują je najznakomitsi artyści epoki.

Okres następny (Rokoko) za Ludwika XV zmienia formy znanych nam „Ludwików“ na bardziej powykręcane, ślimakowate, stosując obok złota barwy jasne, np. różowe.

Meble pani Pompadour i Ludwika XVI cechuje powrót do linii prostych, sztywnych, twardych, nawrót do kształtów antycznych. Wpływ odkopanej w tym czasie Pompei dyktuje antyczne motywy zdobnicze: perełki, plecionki, zwoje akantusa, aplikacje z brązu.

Pod władzą Napoleona rodzi się po rewolucji francuskiej styl Cesarstwa, czyli Empire.

W konglomeracie, jakim jest ten styl, odnajdujemy i Rzym starożytny, i Egipt w owych głowach sfink-

sów i gryfów, przepych cesarzów i prostotę żołnierską. Ściany pokrywają się freskami; fotele, szafy, łoża przybierają formę antyczną i ornament, wzięty od starożytnych.

W międzyczasie Niemcy wnoszą do meblarstwa europejskiego fornirowane meble Gdańskie, poczem w XIX już stuleciu lubiany powszechnie, spokojny „biedermayer“, niepozbawiony smaku, a przedewszystkiem dostosowany do wygod, w formie i w wykonaniu rzemieślniczym nieskomplikowany.

Anglja, przetrawiwszy na własny sposób znane nam już poszczególne style, meble swe, masywnej konstrukcji, wykonuje w drzewie przeważnie mahoniowem. Wreszcie w XVIII w. Tomasz Chipendal tworzy wzorowy, angielski barok, słynący pod nazwą swego twórcy po dziś dzień w ojczyźnie swojej i poza jej granicami.

W wieku XX rozwija się pod wpływem Anglii meblarstwo i styl secesyjny. Na szczęście, wpływy tego brzydkiego i sztucznego stylu już się zacierają.

Wiek XX bowiem przynosi zdrowy i radosny powiew: meblarstwo, oparte na tradycjach ludowych. Żyjemy więc w epoce odrodzenia meblarstwa, jako samodzielnej sztuki. Sztuki, szukającej źródeł i natchnienia w macierzy swojej, sztuce ludowej.

Ruch ten, który ogarnął całą Europę, i u nas rozkwitać zaczyna w kwiat kultury rdzennie polskiej, o czem mówić będziemy, przebiegając historję mebla wyłącznie w Polsce.

Marja Morozowicz-Szczepkowska.

DO LONDYNU!

Z cyklu „Na tle obyczajowości w Anglii“

A teraz wyobraźmy sobie, że jesteśmy w... w Londynie! Pojedziemy tam wszyscy zaraz, kto tylko zeche, na tę prawdziwie angielską sobotę... na ten zachwalany — week-end! I proszę się nie przerażać! najmniejszego kosztu, czy fatygi! I broń Boże, bagażu!... tylko maleńkie czapeczki-niewidki na głowę i powędrujemy in gremio.

Postaram się być cicerone, o ile, wogóle, to mi się uda. Zgóry powiemy sobie: wszystko, ale literalnie wszystko będzie się tam działo inaczej, niż u nas, i trzeba będzie z tem się zgodzić (skoro już się wybieramy) i nie okazywać, podoba się, czy nie... (shocking)!

A więc raz! dwa! trzy! najszybszym lotem wyobraźni przebywamy drogę jednym susem, nawet nie orjentując się wyraźnie, kędy, którądy, przez jakie tam miasta, czy tunele.

I oto już! w samym centrum wielkiego świata, w Londynie, przypuścmy na Piccadilly-street.

Wmieszamy się w gęstą lawinę płynącego tłumu i popłyniemy wartko naprzód.

Po szerokiej jezdni, o której przebyciu myśli się narazie z przerażeniem niemniejszym, jak o przepłynięciu wpływ burzliwej, zawałonej statkami Tamizy, po jezdni tłoczą się, pędzą, rwą — maszyny.

Wrażenie pędu potęguje się do maximum, dzięki niemilknącemu ani na sekundę warczeniu i terkotowi motorów, setek motorów, pragnących wyrwać jeden przed drugim, a zmuszonych często posuwać się w zwartym szeregu, niemal stępa.

W każdym razie—harmider imponujący.

Ogłuszy, ogłupi na oczekaniu obcego człowieka, przybywającego bodaj nawet z innej stolicy świata.

O Warszawo! kochane, bliskie sercu miasto!

Wydasz się w porównaniu z piekiełkiem city londyńskiego, z tem mrowiskiem ciał ludzkich—wydasz się mało zaludnioną, spokojną, ba! nawet nieco ociężałą, czy leniwie pędzącą swą egzystencję!

Jakież więc będzie pierwsze ostre wrażenie tej zamorskiej stolicy dla cudzoziemca? jakie? — powoduję się, oczywiście, osobistem:

— Oto piękne, ciemne miasto!

Nie białe, jak np. Bruksela, nie czerwone, jak ceglasty Hamburg, i nie bajecznie kolorowe, jak rozkoszna stolica nad Sekwaną,—a ciemne, ale nie ponure, broń Boże!

Poważne. Solidne. Stateczne.

Imponujące kolosy londyńskie nie są, jak te brzydkie amerykańskie drapacze nieba, domy-fabryki, które przypominają raczej wysokie komody z dziesiątkami szufladek, ustawionych jedne na drugie, byle wyżej, wyżej, coraz wyżej!

Nie. Gmachy miejskie, rozlane wszereż, nie oszczędne na miejsce, upiękzone wspaniałemi podjazdami i kolumnami, posiadają wszystkie tę cudowną patynę czasu, której nie nabędzie się tak zaraz, na oczekaniu!

Piękny i rzadki kolor murów londyńskich, ciemny, aż czarny we wnękach i wklęsłościach — przechodzący w srebrysto-popielaty odcień na gzymsach i ornamentach — zachwyci każdego przybysza.

A później—co za przestrzenie! jaki rozmach! jakie połączenie terenu, zajęte pod świątynie, pomniki, gmachy publiczne! jakie olbrzymy-parki! Zresztą... dosyć, dosyć!

I, oczywiście, jest coś odrazu w tem pięknem mieście, co mu nadaje wyłączny charakter.

Myślicie może—okrzyczana mgła, brunatna, gęsta? albo ci Policemen'owie, najsprawniejsi na świecie, z elektrycznymi latarkami na kaskach, świecący w mroku, niby robaczki świętojańskie? a może pomysłowe, artystyczne wystawy? może efekty reklamowe, tryskające nawet w biały dzień fajerwerkami ognia?

No tak, tak...

Ale i jeszcze coś — innego.

Mias'to to, powiedziałyby, jest jakby ośrodkiem skupionych tu, jaskrawych krańców z życia ludzkiego.

Bo i proszę: oto przesadne, jak z bajki-wyjęte bogactwo arystokracji i ujawniający się niemal na każdym kroku snobizm „wysoko urodzonych“ („the honorables“); a obok miljonowe rzesze bezrobotnych i zubożałe sfery inteligencji, imające się byle jakiego zarobku, aby żyć (szoferzy, nurses, żywe manekiny), i hasła równouprawnienia społecznego, rozlegające się z rozmaitych trybun.

Bo oto miasto nawskroś europejskie, ewangelickie, chrześcijańskie, gdzie na każdym rogu ulicy „Armja Zbawienia Duszy“, z własną kapelą i chórem, przypomina śpieszącemu się tłumowi o miłości bliźniego! — gdzie piękne, staro-angielskie godło: „Loyauté n'a honte“ *) wypisuje się dotychczas na tarczy zajazdów, oberż, — a oto naraz wśród tłumy przemyka się ostrożnie tajemnicza, egzotyczna sylweta jakiegoś maharadży, czy maharani, w turbanie i narodowym „sari“. Może to świeżo osadzony na tronie królik Iraku, czy inny jaki władca hinduski, czy książę egipski? Nikt się nimi z pośród anglików (szanujących się...) nie interesuje. Przecież to „blackmen“, czyli „ciemny człowiek“, a więc patrzy się nań z maleńką pogardą, z „godnością“, jak przystało na człowieka białego.

Nie wpuści się go nigdy do zamkniętego home'u angielskiego, aby ten—oriental—aczkolwiek ogładzony już po europejsku, śmiał obcować z jasnowłosemi misses! Śmiał na nie patrzeć!

W tym wypadku niekoniecznie trzeba być zaraz ciemnoskórym, aby nie wyczuć od czasu do czasu tej grzecznej, a chłodnej „wyższości“ anglików w stosunku do obcokrajowców, bodaj nawet zupełnie neutralnych... politycznie.

Coprawda, muszę jednak podkreślić, że angielski dzisiejsze, po katastrofie wielkiej wojny, a zresztą, jako kobiety—są bardziej lojalne i subtelniejsze od swych rodaków i chętnie otaczają szczerą życzliwością przebywające w ich ojczyźnie — cudzoziemki.

Dalej—oto miasto północne, chłodne, wilgotne, gdzie nie zazna się rozkoszy upalnego lata i palących promieni słońca—a przecież kosztuje się tam o każdej porze roku najrzadszych, smakowitych owoców.

I skąd się tu biorą, naraz, te wszystkie bajeczne rośliny i egzotyczne „ananasy“, których nazwy z trudnością odszukasz w encyklopedji botanicznej, a które (za bezcen!) wyglądają tak, jakgdyby przed godziną zostały ścięte z grzedy?

Skąd? ...ależ pocztą powietrzną, zaledwie w kilkanaście godzin dostarczane są codziennie do Londynu, z tych tajemniczych wysp i kolonij podzwrotnikowych, znajdujących się pod protektoratem Anglii i nadsyłających do serca Imperjum dziwy i cuda swej flory przez rok cały.

Albo i z tą pogodą... (jeszcze jeden paradoks!)

*) Lojalność nie powinna się wstydić (albo nie ma wstydu).

Trudno o bardziej przewrotny i zmienny stan atmosfery, znącającej się bez litości nad istotami ludzkimi, a one właśnie, zda się, na przekór mściwej przyrodzie są zrównoważone, flegmatyczne, opanowane—jak nigdzie; umiarkowane w ruchach i ekspresji nazewnątrz i zdrowe, tak szatańsko zdrowe!

Albo... jeszcze—w kraju ludzi nawskroś trzeźwych, praktycznych, logicznych, no, jednym słowem, chodzących normalności pod każdym względem—zdarzają się najdziwniejsi dziwacy, jakieś patologiczne typy, zdolne wprowadzić w zdumienie nawet przeciętnego, „normalnego“ historyka powojennego.

Pahl może się myśleć, lecz przy bliższem poznaniu, Anglja wydała mi się ojczyzną najdziwniejszych skojarzeń i kontrastów; krajem, gdzie przychodzą na świat tacy „książęta paradoksu“, jakim był ongi Wilde, a jakim jest obecnie Bernard Shaw... i wielu, wielu innych.

Tyle tylko o Londynie, bo niema miejsca.
(d. c. n.)

Han. Skar.

KORESPONDENCJE

Do wszystkich Czytelniczek. Wobec coraz częściej nadsyłanych do naszej redakcji listów bezimiennych i bez adresów, zmuszeni jesteśmy podać do wiadomości naszych Czytelniczek niejednokrotnie powtarzane zawiadomienie, że na listy anonimowe nie odpowiadamy. Możemy na żądanie naszych korespondentek odpowiedzieć listownie, lub pod wskazanym pseudonimem, byle był poważny, odpowiadający godności pisma, które reprezentujemy i którego współpracownictwem chlubimy się; musimy jednak wiedzieć, komu odpowiadamy. Osoba, kierująca do nas najważniejsze, czy najbłahsze pytanie, może być pewna życzliwej odpowiedzi i kompletnej dyskrecji. We własnym interesie pisujących do nas prosimy o datowanie listów, od tego bowiem zależy szybkość odpowiedzi.

Pani M. Strz. — Lipno. Miło nam jest służyć Sz. Pani żadanymi wiadomościami. Bieliznę pościelową ozdabia się obecnie

prawie jedynie mereżkami, inkrustacją z tiulu, koronek, różnymi haftami ręcznymi etc. Najpraktyczniejsze są stanowczo mereżki, zwłaszcza dla rzeczy często pranych. Kamizelki można robić szydełkiem, byle bardzo ścisłym, niewyciągającym się ścięciem, — lacet można również domięszać. Najwłaściwszą na kamizelki jest robota tkana, która, zrobiona w różne desenie z przymieszką jedwabiu, lacet — ślicznie wygląda. Na zapytanie z dziedziny kosmetyki znajdzie Sz. Pani odpowiedź we właściwym dziale.

Pani A. K. w Czarnowie. Zastosujemy się do życzenia Sz. Pani i postaramy się jak najprędzej umieścić sposób umeblowania pokoju panienci.

Pani S. L. — Maków. Robota koronek klockowych nie nadaje się do nauczania w tak małych ramach, jakie możemy poświęcić jej w piśmie. W najbliższej przyszłości wyjdzie zeszyt, poświęcony jedynie robocie klockowej.

Pani St. M. — Kresy. Na wsi zawsze lepiej jest podać gorącą kolację—przekąski, ogólnie bardzo lubiane, podaje się na godzinę lub półtorej przed kolacją, a wszelkie ciasta, ciasteczka, wcześniej do herbaty, zależnie od godziny, na którą goście są proszeni. Zwyczaj przyjmowania zimnymi potrawami, zastawionymi w tak zwanym bufecie, bardzo praktyczny z różnych względów w mieście—na wsi, gdzie jest więcej miejsca i czasu, dotąd się nie przyjął. Jeżeli przyjęcie ma być wieczorowe, a nie poobiednie, gorąca kolacja jest konieczna. Co do niespodzianki, trudno dać radę, nie znsjąc warunków—może piękna iluminacja ogrodu, połączona z fajerwerkami, dałaby się zastosować. Pomyślawszy zawczasu o iluminacji, można uzyskać bajeczne efekty transparentami, latarkami, etc., które przy zręczności mogą być wykonane własnoręcznie. Co do toalety, powinna być jasna, świeża, nie nazbyt strojna, jak zwykle gospodni domu, która nie chce zaćmić gości; kolor trzeba dobrać z tych, w którym Sz. Pani jest do twarzy, — może bardzo modny pastelowy niebieski — materiał jedwabny meteor, rodzaj crêpe de chine'u nie gniotącego się, bardzo szerokiego i nie drogiego, bo 20 zł. metr kosztuje najlepszy gatunek. Przybranie—haft, malowanie i koniecznie coś świecącego, choćby kłamy ze strasów,—charakter toalety lekki, nie kępujący ruchów, nie przeciążony ozdobami, bo przecież to wiosna.

PIĘKNE BLONDYNKI wiedzą najlepiej, że kolor włosów ZŁOTO BLOND
otrzymują tylko przez HEZABLOND
Oryginalne tylko z firmą HENRYK ŻAK W POZNANIU Wystrzegać się falsyfikatów

„Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO ROBIENIA ZAKUPÓW

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem“ tłusty i suchy, „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem poziomkowy, Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięgi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.